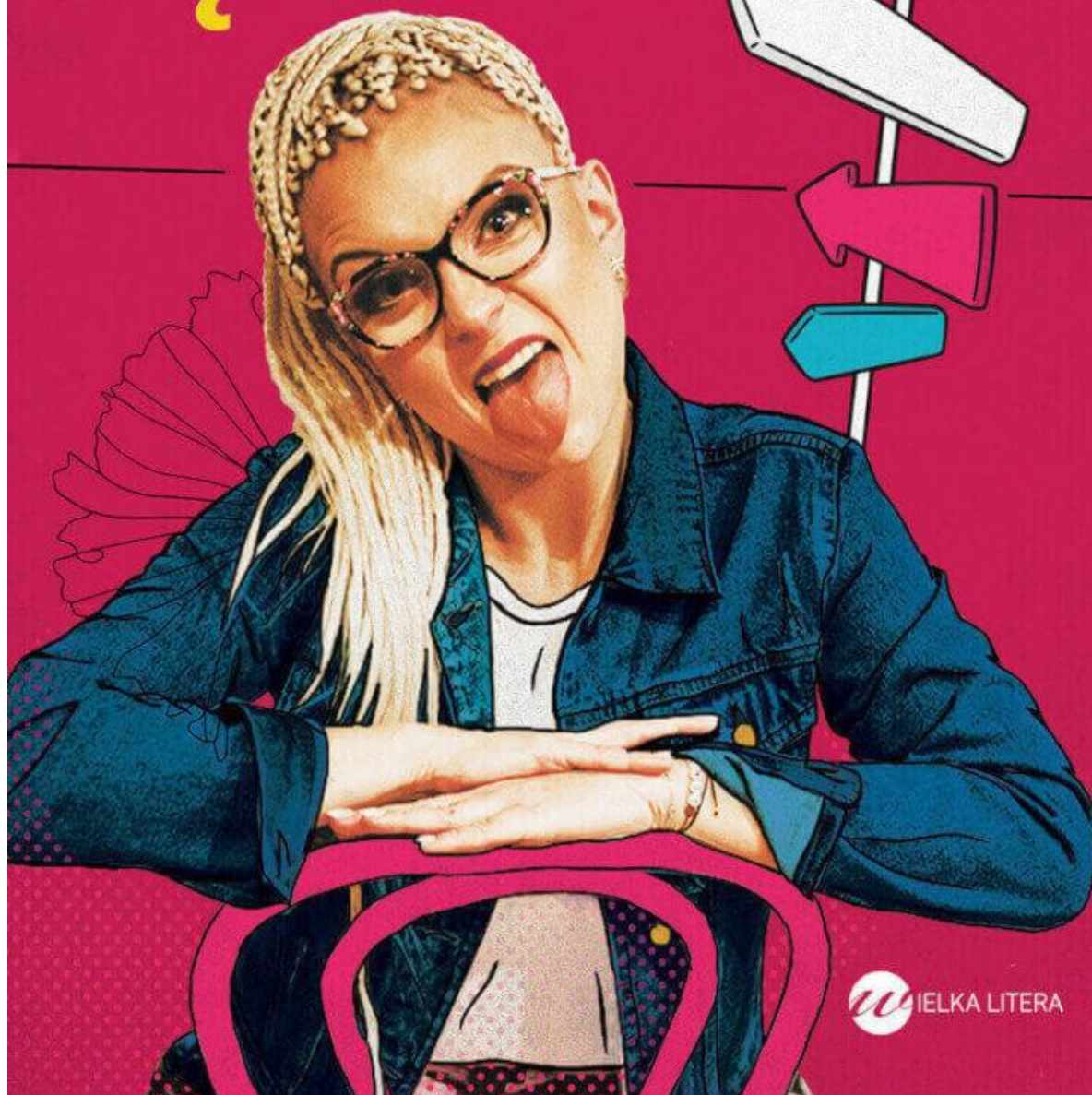


Z sarkazmu i refleksji lepi teksty jak kruche ciasteczka
i okrasza je słodkim lukrem z czarnego poczucia humoru

MAM WĄTPLIWOŚĆ



 WIELKA LITERA

[fragment książki](#)

Przystanek 1.

Musisz mieć
niezwykłą biografię



**Ten rozdział dedykuję
każdemu, by przypomnieć,
że z pięknymi chwilami jest
jak z robieniem siku – każdy
to przeżywa i nie można być
niewystarczająco dobrym,
by to robić!**

Ważni ludzie rodzili się w ważnych okolicznościach i wszystko wokół zdawało się potwierdzać ich wielkość. Albo los powitał ich oschle i nie szczędził trosk, z którymi jednak dziarsko się mierzyli, by finalnie usłyszeć owacje na swoją cześć. A ja co? Państwowy szpital, dziecko, które miało być chłopcem. Babcia, która ujrzała mnie w beciku, od razu uznała, że nie rokuję. Nic ciekawego, ale...

Głęboko wierzę, że historię każdego można opowiedzieć w ciekawy sposób – pani w mięsny też ma na swoim koncie opowieści, przez które kolana, razem z podudziami i skrzydełkami na ladzie, klęczą. Tylko dziś nie bardzo ktoś chce słuchać. A jeszcze trudniej uwierzyć, że potwierdzenia ważności tych historii wcale nie trzeba szukać u innych.

Pani Alinka porcuje ci te obrzydliwe żeberka ze zwierzęcych zwłok, a myślami wraca do spaceru brzegiem stawu ze swoim chłopakiem, kiedy to miała na sobie zwiewną sukienkę, na twarzy szeroki uśmiech, ale celowo nie założyła majtek. Ha! I czy fakt, że wie o tym tylko ona i ten szczęściarz, co to odkrył nad stawem, umniejsza wspomnieniu i sprawia, że grzeje mniej w zimowy wieczór jesienią życia?

Biografia Michelle Obamy porwała tłumy, a każdy zakręt w jej życiu z perspektywy kolejnych rozdziałów był



jedynie sparingiem przed walką o cele i marzenia. **Zastanawiam się, jak to jest: czy w końcu możesz wszystko, możesz wystarczająco dużo, czy wszelakie hasła to jednak fikcja, miotamy się jak gówno w przeręblu, a nasze losy już dawno zapisane.** I coraz częściej mi się wydaje, że wszystko to kwestia nomenklatury i narracji.

Możesz się przewrócić i skupić na obdartych kolanach. Możesz stwierdzić, że to próba charakteru i nauuczka. Możesz wmawiać wszystkim i sobie, że to był taniec, albo wstać, otrzepać się i dojść do wniosku, że w sumie nic takiego się nie stało. Dokładnie to samo może być dramatem, wyzwaniem, testem, przygodą, doświadczeniem – nazywaj je, jak chcesz, i odkrywaj, jaką moc ma język. A potem zadzwoń do mojego szwagra, który własnymi rękami potrafiłby postawić dom, i wyjaśnij, że ja tym pisaniem też buduję, niszczę, wznoszę, burzę, wygładzam albo dopieszczam detale.

Ile razy słyszałam historie w stylu „od dziecka wyróżniał się spośród rówieśników, wiadomo było, że wiele osiągnie!” albo „zawsze były z nią kłopoty, każdy mówił, że skończy marnie”. Gdy tylko ktoś zostawał prezesem banku, zaraz jego matematyczka z podstawówki przypominała sobie, że to u niej miał czwórkę z naprawdę dużym plusem! A jak kogoś wsadzili do więzienia, to że zawsze źle patrzyło mu z oczu. I ja uwierzyłam, że w moim dzieciństwie nie ma żadnych godnych uwagi zdarzeń i zwrotów akcji, kiedy

czytałam, że Anja Rubik już w wieku nastu lat przebierała w zagranicznych kontraktach i zwiedzała świat. Ja w tym wieku mogłam co najwyżej przebierać w okładkach zeszytów, które od zawsze musiały być ładne. A sama to wyruszałam po kartofle lub podpaski. Dla mamy, bo dla siebie się wstydziłam, taka byłam przebojowa. Jednak dosyć tego! Każdy ma prawo do interesującej opowieści o sobie. I to nie sztuka przeżyć coś fascynującego, a... a przeżyć zwyczajne i jak wyjątkowe potraktować i zapamiętać. Anja być może nie pamięta pierwszego pokazu, za to ja samodzielnie wybrany zeszyt z bobaskiem na okładce – jak najbardziej!

W czasach, kiedy jako dzieci nie mieliśmy kont bankowych i wierzyliśmy, że „dupa” to najbrzydsze słowo świata, a posiadając chipsy, picie i lody, byliśmy przekonani, że mamy już w życiu wszystko. I gdyby przyszło nam wtedy zginąć po upadku z trzepaka, umarlibyśmy szczęśliwi. Robiliśmy przerażające rzeczy: korzystaliśmy z wolności nieograniczonej widmem żadnych porwań, wypadków, molestowania i innych zagrożeń, które sprawiają, że dzisiejsze dzieciaki oglądają świat jedynie podczas podróży między szkołą a dodatkowymi zajęciami lub na Netflixie. I nic dziwnego, moja mama też zamknęłaby mnie w szafie, wiedząc o świecie tyle, ile ja teraz.

Całą bandą, jak blokowiskowe dzieci z Bullerbyn, odbywaliśmy misje. I w czasie jednej z nich w życiorysy niewinnych dzieciaków wdarł się biały proszek, o którym

opiekunowie nie wiedzą do dziś. A konkretnie do kolejnego akapitu.

To nie były czasy kieszonkowego, a rozpaczliwych wołań pod balkonem z prośbą o dwa złote na picie. Pięciozłotówka była symbolem dobrobytu i luksusu, unoszona na podwórku niczym hostia, za którą podążał omotany tłum, ciekawy, w jakie cuda się zamieni i czy właściciel będzie częstował chipsami. To był jednak ewenement, rzadko które z nas obracało takim kapitałem. Może i brakowało nam hajsu na głupoty, ale na pewno nie pomysłów.

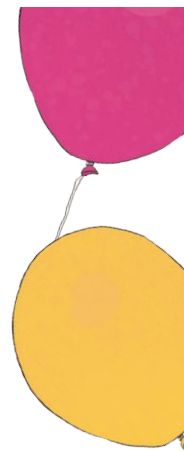
Któregoś razu odkryliśmy, że już za 15 groszy możemy kupować... śmietankę do kawy w proszku. I wylizywać w ekstazie maleńkie saszetki, racząc się słodkim smakiem białego pyłu, który zostawiał pod nosem biały ślad niczym kokaina. Dziś dzieci raczące się białym proszkiem odwieziono by na komisariat i uhonorowano nadzorem kuratorskim. Wtedy? Dorośli mijali nas, z politowaniem kiwając głowami. Nie wiem, kto był jednak bardziej żaloszny – wiecznie smutni oni czy zgraja dzieciaków jarająca się zdobyczą za 15 groszy?

Aby pozyskać fundusze na interesujący nas towar, którym nadal była śmietanka do kawy, a nie kokaina, bo to lekka książka, a nie druga część *My, dzieci z dworca Zoo*, postanowiliśmy... sprzedawać ślimaki. Akurat było ich pod dostatkiem, powzięliśmy trud zebrania dziesiątek albo i setek w jedno miejsce, więc nikt nam nie mógł zarzucić, że jesteśmy roszczeniowi, jak wtedy, kiedy

chóralnie wznosiliśmy pod balkonami skowyt „mamo, rzuć złotówkę na picie”, by w dobry dzień uzyskać upragniony nominal, a w kiepski zostać upokorzonym słowami „w domu jest kompot” albo „przyjdź, to ci zrobię herbaty w butelce”.

Każdego ślimaka wyceniliśmy na 50 groszy. Ekscytacja potencjalnymi zyskami trwała tak długo, że niemal zastał nas wieczór – mieliśmy wypieki na twarzy od opowiadania, ile paczek keczupowych chrupków maczug można mieć za tyle ślimaków (żądze podsycala wyobraźnia, bo przecież nie realna umiejętność mnożenia). Rynek zweryfikował nasze oczekiwania: cena malała wraz z zachodzącym słońcem: do 45, 30, aż w końcu 15 groszy. Granica wartości śmietanki do kawy była granicą naszej godności. Zapadł zmierzch, potencjalni klienci przestali się pojawiać na chodniku. Rozeszliśmy się do domów, ślimaki nie, bo miały je, jak by to ująć, pod ręką. Pokonało nas ludzkie niezrozumienie, brak wyobraźni i umiejętności nowatorskiego myślenia naszych osobistych starych i sąsiadów. Tak naprawdę to opowieść o ich porażce.

I byłabym zapomniała o tym zdarzeniu, gdyby nie nowinki ze świata kosmetyków, których nie śledzę, ale którymi dostaję czasem w łeb rykoszetem. Specyfiki ze śluzu ślimaka są hitem w kosmetologii – istnieją masowe farmy ślimaków, na których pobiera się tę substancję do produkcji kremów i serum o rzekomo zbawiennym działaniu dla skóry. Jako osoba, która regularnie nie jest w stanie ani



jeść, ani miesiaćzkować, ani tym bardziej stosować żadnego kosmetyku, nie mogę potwierdzić tej tezy i nie zamierzam jej forsować. **Jako trzydziestolatka odrobinę lepiej ogarniam finanse niż niespełniona potentatka branży hodowlano-kosmetycznej, ale nadal tak samo cieszę się z keczupowych maczug.**

Dziś wiem, jak czuł się da Vinci – zgraja dzieci z przyfabrycznego osiedla po prostu wyprzedziła swoją epokę i padła ofiarą obojętności tłumu, a przynajmniej ze dwudziestu przechodniów, którzy donieśli rodzicom. Ci ostatni, a jakże, ofiary dorosłości i horyzontów wyciosanych z wielkiej płyty, nie pojęli wzniosłości inicjatywy i chcieli wyciągnąć pas i spuścić nam lanie za przynoszenie wstydu rodzinie. Ślimaki okazały się jednak tak nic nieznaczące, że obeszło się bez kar, a miliony przychodu z dystrybucji śluzu przeszły nam koło nosa.

W ogóle należę chyba do ostatniego pokolenia, które oglądało świat nie przez szybę auta rodziców odwożących swoje dzieci z dżudo na taniec nowoczesny. (I pewnie jednym z ostatnich, które w ogóle istnieje, biorąc pod uwagę kondycję planety – zatem bez narzekania, dzieciństwo przez szybę to nadal jakieś dzieciństwo, dinozaury z chęcią przyklasnęłyby nawet takiemu, halo, halo! No, ale nie mają rąk. I wyginęły).

Daleko nam było do sielanki, ale na pewno żyliśmy w jakiejś bańce. Niemal wszyscy nasi rodzice pracowali w jednym zakładzie, znali się od lat, zawierali małżeństwa

pochopnie, myląc szczeniackie zauroczenia z miłością i pieczętując je ciążą. Nie rozmawiali ze sobą, z nami też nie za bardzo, więc i my nie rozmawialiśmy za bardzo ze sobą – no bo o czym, jak każdy miał w domu w zasadzie to samo? Meblościanka, modne kasetony, segment w pokoju, obrotowe krzesło, naklejki na drzwiczkach i świadomość, jaki dokładnie wpierdol czeka kolegę, kiedy coś wywinie.

Zaczynaliśmy zabawę w chowanego dopiero po zmroku, bo wtedy była najlepsza, wszyscy znali nas po nazwisku i donosili życzliwie nawet o tym, że być może przyszło nam do głowy spróbować kiedyś papierosa.

Dopiero dorosłość i zderzenie bańki z innymi perspektywami skłaniały do refleksji, że jednak nie wszystko było wszędzie takie samo. Częstokroć wiedza wynoszona z domów okazywała się gównem warta. A smród tego gówna pewnie przesiąkł nasze życiorysy i nie wiem, czy lepiej tym, którzy są tego świadomi, czy pogrążonym w niewiedzy, którym ten życiorys na żywicy z gówna nie chce się skleić w spójną całość.

NAWET TAM, SKĄD JESTEM, BYWAŁY DZIECI LEPSZEGO SORTU.

Jeden rodzic dostawał mieszkanie z przydziału jako nauczyciel, ale drugi rozkręcał prężne biznesy, by owoc związku mógł pokazać szarym ludziom, jak wygląda prestiż. To były takie nasze pierwsze okna na Zachód.

Chodziłam z koleżankami do domu kolegi, który był, jak to chłopiec w podstawówce, na innym etapie rozwoju,

tylko po to, by pobyć w jego domu, w którym dorośli nalewali dzieciom soku, zadawali pytania i nie byli zbyt zmęczeni, by pogadać. Mama Janka, która skrycie marzyła chyba o córce, zabierała nas na górę, żeby pokazać rzeczy kupione synowi na jesień, a ja z otwartą buzią odkrywałam, że Janek ma co roku wymienianą garderobę, nic po kuzynach, wszystko markowe. I pewnie nigdy nie był na nocnych zakupach w Głuchowie, gdzie pod plastikowymi wiatami i na straganach rodzice między dwudziestą a czwartą rano kupowali mi szeleszczące dresy, a siostrze modne, choć od ruskich, sztruksy. I bluzki na niedziele, teraz dostępne w galeriach w wielkim mieście, gdzie jest ciepło, dużo światła i wszędzie tak ładnie, że aż żal do domu wracać. Co to nocne zakupy, zapytasz? Ano nic podobnego do akcji rabatowych wielkich domów handlowych, a... niegdysiejsze Złote Tarasy dla ludzi oszczędnych i zdeterminowanych, którzy w zamian za nieco niższą cenę byli gotowi nie spać, zmarznąć i przymierzać „ekskluzywny” ciuch w niższej cenie na kawałku tektury i tyle brudnego samochodu.

I nie było nic złego w zakupach w Tuszynie. Welurowy dres, poza tym, że wycierał się na dupie i kolanach i sprawiał, że wszyscy wyglądaliśmy jak niewytresowane małpy, nosił się świetnie. Chodziło tylko o odkrycie. O pierwsze namacalne rysy podważające przekonanie, że to, co u mnie, jest powszechne i normalne.

Jak u nas robiło się remont – jeśli robiło, bo ojcu nigdy nic nie było potrzebne i wszystko było fanaberią matki – to

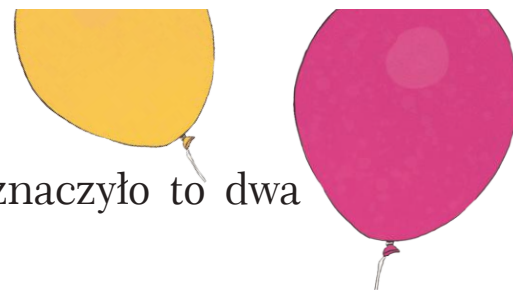
każdy wiedział, że to ma być na zawsze. Nie brał pod uwagę, że się zniszczy, i musiałby upaść na łeb, by coś zmienić, bo wyszło z mody. Nowakowska miała, Piwowarska miała, to i Radomscy.

zabłysnąć można było tylko tempem wprowadzania trendów – i tak jako jedni z pierwszych mieliśmy plastikowe okna, choć aktualnie to niepoprawne politycznie się tym chwalić. A kasetony wiszą na suficie do dziś, bo nie ma odważnego, który by chciał to styropianowe dziwadło z sufitu ściągać. Tymczasem u Stasiaków remont nigdy się nie kończył.

Janek miał odnawiany pokój na każdym z etapów swojej edukacji. Jego rodzice zmieniali panele częściej niż większość mężczyzn z osiedla skarpetki. My widywaliśmy McDonalda tylko na szkolnych wycieczkach, dla niego cheeseburger był oczywisty jak dla mnie niedzielny rosół.

Raz nawet wszyscy czekaliśmy, aż z Chin przyplynie ich nowe auto, takie w innym kolorze niż w sklepach, chyba niebieskim, a na pewno lepszym, bo czekanie trwało kilka miesięcy. Tak dowiedziałam się, że są ludzie, którzy nie kupują używanych aut w niedzielę na giełdzie i nie wracają na rosół zde gustowani, że wszystkie bite i malowane. Chociaż w drodze z Chin też mogłoby się porysować i ból byłby większy.

Kiedy tacie, a w zasadzie całej naszej rodzinie, ukradli mazdę pod szpitalem i wpadł do sali, na której leżałam po operacji przepukliny, z zakrwawionymi rękami, bo próbował



złapać złodzieja przez uchyloną szybę, naznaczyło to dwa kolejne lata jego życia.

Nie jadł, nie spał, schudł. Codziennie dojeżdżał do pracy kilkanaście kilometrów rowerem. Był nieznośnie milczący i autentycznie załamany, a w każdą niedzielę wyruszał z wujem na inną giełdę gdzieś w Polsce w poszukiwaniu auta marzeń niczym Indiana Jones w poszukiwaniu Świętego Graala.

Drugiej zimy tata kupił starego malucha, bo wykańczały go mrozy, i fiat 126p ostudził odrobinę zapał poszukiwań. Aż wreszcie ją znalazł, maszynę swojego życia, białą skodę, w której jedzenie herbatników było zbrodnią przeciwko ludzkości i groziło wyrzuceniem z auta na poboczu. I trudno mi dziś rozstrzygnąć, kogo i które auto cieszyło bardziej – zaprojektowane w wirtualnym katalogu kombi prosto z chińskiej taśmy czy używana biała skoda, cel, do którego tata docierał na rowerze i w maluchu blisko dwa lata?

Za moich czasów i w moim domu czymś dalece egzotycznym było także podróżowanie. Rodzinną wycieczką nazywaliśmy wypad do hipermarketu Selgros, gdzie wówczas nie można było kupić niczego nie na zgrzewki.

Każda wyprawa wyglądała tak samo – mieliśmy zaozczędzić, stroiliśmy się jak na mszę, kłóciliśmy o to, na chuj komuś 15 kilogramów frytek, skoro ojciec uprawia na polu ziemniaki, mama bladła przy kasie, a powrót

odbywał się w milczeniu. Dziś już wiem, że rodzice nie mieli dyplomu z finansów, ale naprawdę weszłam w dorosłość z przekonaniem, że kupowanie 12 płynów do płukania o złotówkę taniej za sztukę to oszczędność. I to naprawdę wiele wyjaśnia, jeśli chodzi o moją osobistą karierę finansową.

Obowiązkowym punktem były za to wszystkie odpusty w powiecie. Nie wiem, czy istnieje jakiś ich grafik, ale serio wspominałam je jako swoje pierwsze i jak dotąd ostatnie tournée.

Tata wynagradzał mi wtedy swoją nieobecność, a po liczbie łupów ktoś mógłby stwierdzić, że przez większość roku był na misji w Iraku, a nie pracował w gospodarstwie i na polu. Podróbki Barbie ze zginającymi się kolanami, świecące druciki, pięć pierścionków, siedem naszyjników z obwarzanków, lody z papierka, kapiszony, wata cukrowa i co kilka dni, w sezonie odpustowym, czułam, jak to jest mieć świat u swoich stóp i manipulować poczuciem winy nieobecnego rodzica! Może znajomi chodzili z rodzicami do kina albo jeździli w góry, ale tam na bank nie było pompowanego pająka i gumowego węża, a więc nie tylko ja miałam powody do zazdrości.

Nigdy nie byliśmy też na wakacjach, bo na wsi u taty lato równa się orka. Zupełnie jak jesień, zima i wiosna. Raz mama spakowała mnie z siostrą i dała się namówić koleżance na wspólny wypad nad jezioro. Nie spałam przez kilka tygodni z wrażenia!

W trakcie pobytu też kiepsko, bo mama pozwalała na tak absurdalną liczbę lodów dziennie, że cukier powinien był mnie zabić. Domek śmierdzał stęchlizną, koleżanka mamy miała niepełnosprawnego, agresywnego syna, którym musiałyśmy się zajmować i wziąć go do naszego pokoju, bo sama puszczała się z kim popadnie. Według mnie było cudownie, ale z perspektywy mojej mamy nie dziwię się, że nigdy więcej nie odważyła się na podobny wybryk i nie została prekursorką trendu „z dziećmi dookoła świata”.

Z domu wyniosłam nie tylko paniczny lęk przed podróżami i egzotyczną definicję słowa „przygoda”, ale i sakralny szacunek wobec rzeczy nowych.

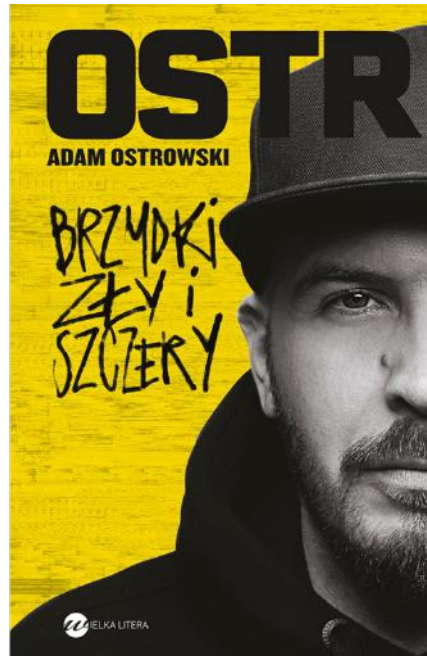
Każda nowa bluzka, spodnie czy majtki musiały najpierw odleżeć swoje i kolejno: być założone na jedno konkretne wydarzenie, na jakąś niedzielę jakiś czas później. Następnym etapem było noszenie tych rzeczy do szkoły, z bezwzględnym nakazem zmiany odzieży na gorszą zaraz po powrocie, choć w szkole i na podwórku widziałam się dokładnie z tymi samymi ludźmi i trudno rozstrzygnąć, czy lepsze były spodnie przetarte na kolanach, czy takie, z których się po prostu wyrosło. I tu wielkie brawa dla dorosłości – błogosławione niech będzie prawo wychodzenia na ważne wyjścia w nieuprasowanych ubraniach, jedzenia chrupek w najdroższej bluzce i ceremonialne

wypieprzenie z domu żelazka. Ten bunt musiał kiedyś wybrzmieć i od 10 lat ma swoje pięć minut. Ale rodzice naczynają naszą psychikę na zawsze – potulnie, jak mama kazała, zakładam na wyjazdy nowe majtki, żeby nie narobić wstydu starymi, gdybym nagle trafiła na pogotowie. Historia na pewno zna takie przypadki, że lekarz przerywał resuscytację ze względu na sprane majtki. Są niezwykle częste, tak jak porwania niejedzących ładnie dzieci przez Cyganów i Babę-Jagę.

PS Moje dzieciństwo i niewinność oficjalnie zakończyły się latem 2003 roku, kiedy to z grupą rówieśników musieliśmy pracować w pocie czoła przez wiele godzin przy zrywaniu wiśni. Nie po to, by sprzedać, pomóc czy zarobić. Po to, aby wytłoczyć własne wino, bo wiele się zmieniało, ale liczba pomysłów była zawsze odwrotnie proporcjonalna do posiadanego kapitału. Uwierzeliśmy, że nie da się bawić bez alkoholu, i to było gorsze niż polucje, okres, trądzik czy przekonanie się, jak naprawdę wygląda seks, razem wzięte.

To były czasy, w których chodzenie na korepetycje oznaczało bycie głąbem, a nie nadgorliwcem, czyli dawno.

Mogą Cię także zainteresować:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)
Zapraszamy na wielkalitera.pl